



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Kornel Ujejski.

Przed tygodniem, a w niespełna dwa miesiące po Adamie Asnyku, zmarł drugi wielki poeta, Kornel Ujejski, który oddawna natchnionymi swymi utworami zasłużył na miłość i wdzięczność potomności.

Był to już człowiek wieku poważnego, urodził się bowiem 12 września 1823 roku w majątku Beremiany na Podolu galicyjskim, jako syn starodawnej rodziny obywatelskiej.

Cale swe życie z wyjątkiem kilku lat poświęconych podróżom, spędził na wsi, jako wzorowy i dbały o dobro ludu gospodarz, a piękne i szlachetne zasady, które w poezjach swoich z niezwykłym ogniem i siłą wypowiadał, kierowały także wszystkimi czynami jego życia.

Największa działalność poetyczna Ujejskiego przypadła

na lata 1845—1850, w czasie w którym poznał się z Mickiewiczem, Słowackim i innymi wybitnymi pisarzami owej epoki.

Do najpiękniejszych jego utworów należą: poemat „Maraton” i zbiory natchnionych hymnów i pieśni pod tytułem: „Skargi Jeremiego,” „Melodye biblijne” i „Tłomaczenie Szopena”. Główną ich cechą jest podniosły smutek i wiara; język odznacza się nadzwyczajną pięknnością i potęgą, a wiersz niezwykłą melodyjnością.

Wiele jego utworów podłożono pod muzykę, znane są one i śpiewane oddawna, jako hymny i pieśni.

Pogrzeb Ujejskiego odbył się w Pawłowie, majątku syna w Galicyi.

Jedną z jego melodyi biblijnych podajemy poniżej.

Rebeka

(z pieśni biblijnych)

Kornela Ujejskiego.

Ogłuszał wieczór ciszą nakryty,
Mury Nahoru bieleły,
Zachodnie góry na sine szczyty
Słońce z błękitu ściągały.

A przed Nahorem na staj niewiele
Cysternę palmy obsiadły,
A pod palmami skubając ziele
Wiebłądy w rząd się pokładły.

Wracała z pastwisk gromada owiec,
Strzepując rosy na łące,
Stał przy cysternie jakiś wędrowiec
I wieszał oczy na słońce.

A jego sładzy od karawany
Gwarzyli wsparci na siodłach,
On tylko jeden stał zadumany
I tak rozmyślał w swych modłach:

„Obce tu niebo — obca tu rzesza,
Jakoś markotno i nudno,
I powitaniem nikt nie pospiesza,
Choć niby ludno — odludno.

Jam mu położył rękę pod biodro,
Przysięgłem przywieźć synowę.
Lecz nie poradzę — gdy łaską szczerą
Bóg nie uświęci mą głowę.
Jemu ta sprawa niech będzie dana,
Niech jego w niej będą rządy,
Oto ta wejdzie w dom mego pana,
Co me napoi wielbłądy.”

I ledwie takie słowa wypowie,
To mrokiem od strony miasta,
W bieluchnej szacie, z dzbankiem na głowie,
Szła zwolna jakaś niewiasta.

I szła powiewna jak gałąź wina,
Jak mgły nad łąką co wiszą,
Nie tak się palma zgrabnie przegina
Kiedy ją wiatry kołyszą.

A tak srebrzała na tle murawy,
Jak biała lilia w dolinie,
A taką lekkość miała z postawy,
Że się zdawało — że płynie.

Czarne jej włosy rozwiane łąciem
Spadały na białe lica,
A tak pod ciemnym cyprysu liściem
Ognieźdża się gołębicą.

A kiedy dzbanek i twarz w rumieńcu
Ku modrej wodzie schyliła,
To na dnie studni w wodnym ziół wieńcu
Para się gwiazdek odbiła.

A gdy podniosła się z konewczką,
Podrózny, co stał przy zdroju,
Rzekł jej łagodnie: Piękna dziewczeczko,
Udziel mi trochę napoju.

I wnet z ramienia naczynie zdjęła,
Na miękkiej złożyła dłoni,
I na paluszkach drobnych się wspięła,
I dzban ku niemu nakłoni.

Podrózny niby zanurzył głowę,
Leniwo pociągał wodę,
Pił przez połowę, a przez połowę
Poglądał na jej urodę.

A ona rzekła: Wyście z daleka,
Wam kurzem szata okryta,
I wielbłąd smutny na wodę czeka,
Patrzając w próżne koryta.

A słudzy cisną głowy w zawoje
Znużeni męką podróżną,
To ja wielbłądy wasze napoję;
Pozwólcie być wam usłużną. —

I szła po wodę czerpać dla stada,
A obcy człowiek na boku
Pokornie ręce na piersi składa,
Z wilgotną modlitwą w oku.

I patrzył w niebo długo i długo,
I wyrzekł słowy cichemi:
„Wielki Bóg litość miał z swoim sługą”
I skłonił czoło ku ziemi.

ŻYCIE W OCEANIE.

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Słońce ogrzewa jaja zagrzebane w piasku, a po trzech tygodniach już wychodzą z nich młode żółwie, i wiedzione instynktem, jak kaczątko puszczają się na wodę. W czasie tej wędrówki ginie ich mnóstwo, gdyż są zjadane przez krokodyle, drapieżne ptaki, a zwłaszcza przez ryby, przed którymi nic ich nie ochroni; ponieważ miękki i biały pancerz młodych żółwi jest zaledwo sformowany.

Żółwie są tak tępione przez ludzkie i zwierzęte, że zapewne wyginęłyby już dawno, gdyby nie to, że każda z samicy składa wielką liczbę jaj. Tak dzieje się zawsze w naturze: zwierzęta, mające bardzo licznych nieprzyjaciół, składają olbrzymią liczbę jaj, jak gdyby tą ilością chciały wynagrodzić wielkie straty, jakie ludek ich ponosi. Odwrotnie, zwierzęta, które nie są narażone na wielkie niebezpieczeństwa, składają jaj mało, np. niektóre ptaki, żyjące na niedostępnych skałach, znoszą po jednym lub po dwa jaja na rok.

Żółwie morskie przynoszą ludziom znaczne zyski i dlatego mieszkańcy krajów gorących poławiają je dla mięsa, tłuszczu, jaj, a zwłaszcza dla skorupy, której zwierzęchna warstwa, dostarcza *szylkretu*. Połów żółwi odbywa się w rozmaity sposób; niektórzy rybacy łowią je sieciami na otwartym morzu albo też ciskają w nie żelazne ostrza (*harpuny*) gdy żółwie wypływają na powierzchnię dla nabrania powietrza. Ale najczęściej łowcy korzystają z tego, że żółwie wychodzą na ląd dla złożenia jaj. Rybacy są zaczajeni i czekają tej chwili, gdy żółwie schowają się dość głęboko w ziemi, by złożyć jaja. Wówczas ludzie rzucają się na żółwie i szybko przewracają je na grzbiet, a w tej pozycji zwierzęta stają się zupełnie bezwładne; nawet na drugi dzień znajdują się w tej samej postawie. Rybacy przenoszą żółwie na okręty i układają je grzbietem na dół. W tym stanie żółwie wytrwać mogą do dwadzieścia dni, nie przyjmując żadnego pokarmu, należy tylko polewać je kilka razy dziennie wodą morską. Tym sposobem przewożą żółwie do Europy, gdzie robią z nich słynne zupy, a tarcze rogowie idą do handlu na wyrób ozdobnych drobiazgów.

W niektórych miejscowościach łowią żółwie innym jeszcze, a nader ciekawym sposobem; w łowach dopomaga bowiem człowiekowi pewna niewielka ryba, zwana *trzymonawem* (*Echeneis remora*) przedstawiona na ryc. 107. Owa ryba posiada na głowie rodzaj tarczy, za pomocą której mocno przyczepia się do kadłuba statków oraz do ciała wielkich rekinów i tak odbywa podróż wraz z nimi. Z powodu tego obyczaju *trzymonawa* rozpowszechniły się o nim rozmaite baśnie; tak np. starożytne ludy wierzyły, że gdy choć jedna taka ryba przyczepi się do statku, to natychmiast zatrzyma go w biegu.

Oto jakim sposobem owa ryba używana jest przy polowaniu na żółwie. Rybacy złowiwszy rybę wkładają na jej ciało obrączkę do której przywiązują długi sznur i płyną daleko na morze tam gdzie lubią przebywać żółwie. Żółwie mają zwyczaj drzeć na powierzchni morza, kołysane na falach, ale sen ich jest lekki, najdrobniejszy szmer zmusza do ucieczki daleko, łodzie zatem nigdy nie mogą zbliżyć się do nich. Ale przebiegli rybacy urządzają na nie zasadzkę, i gdy tylko ujrzą drzemiącego żółwia, natychmiast rzucają *trzymonawę* do morza, nie wypuszczając z ręki długiego sznura. Biedna ryba myśli zapewne, że wrócono jej swobodę i usiłuje umknąć, ale sznur trzyma ją na uwiez; ryba rzuca się na wszystkie strony, wreszcie po próżnych wysiłkach szuka schronienia pod którym żółwiem i przyczepia się do niego swą tarczą. Wtenczas rybacy zwijają sznur i ciągną ku sobie rybę, a wraz z nią i żółwia.

Na ustach nieznajomego wciąż igrał uśmiech, trochę jakby szyderczy.

— Ale to ich tam musi być dużo tych zbójów w waszych stronach? — rzekł wreszcie.

— A jest ich dosyć, ale tutaj nad Dniestrem pono ich więcej, bo za rządów tureckich naród zdziczał i rozhultał się

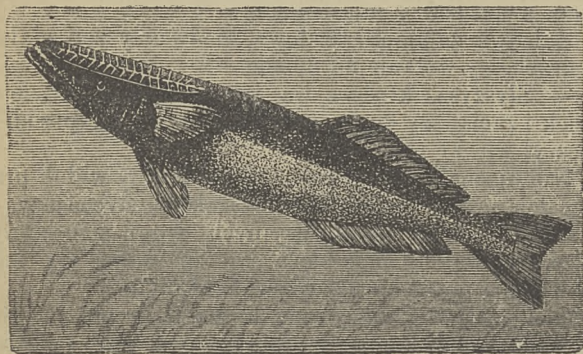


Fig. 107. Trzymonaw (*Eheneis remora*) polowa wiel. naturalnej.

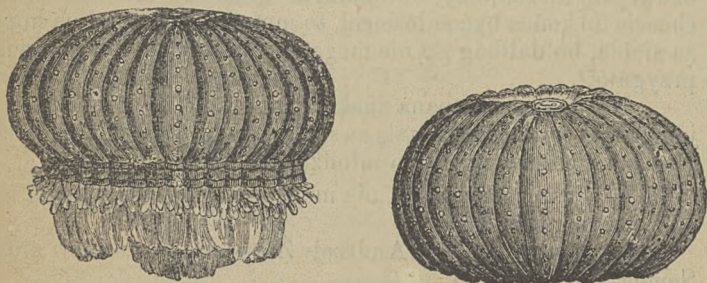


Fig. 108. Ukwiał pływający na powierzchni morza, a) rozwinięty, b) skurczony.

okrutnie, różne zbiegi i przybłądy osiedlili się po jarach zkąd pouciekała spokojna ludność i zaczęli swoje rozboje; dzięki Bogu teraz, kiedy Turcy się wynieśli i tu z czasem zrobi się porządek.

— Nie tak to łatwo, jak waszmości się zdaje — odparł nieznajomy dziwnym tonem.

— Ano zobaczmy. Bóg da, że może jakoś pójdzie — rzekł Andrzej, którego ton ten trochę zastanowił. Ale wybaczenie mój nieznajomy panie, dopiero teraz spostrzegłem, że ja tylko o sobie wszystko opowiadam, a wy o sobie nic, jakoś mi się to dziwnem wydaje — dodał, spoglądając trochę z pod oka na nieznajomego, który rozśmiał się przeciągle, aż mu odpowiedziały gąszcze leśne i rzekł:

— Bądź waszmość spokojny, niedługo się dowiesz wszystkiego co ci potrzeba.

Właśnie w tym samym czasie wyjechali w najbliższą część lasu ponad jar stromy, zarośnięty nieprzebytą gęstwiną. Nieznajomy przyłożył do ust gwizdawkę i gwiznął przeciągle; natychmiast, jakby z pod ziemi, z jaru z poza drzew wyskoczyło kilkunastu uzbrojonych ludzi i otoczyli podróżnych ze wszystkich stron.

— Uspokój się waszmość, to tylko moi ludzie — rzekł nieznajomy, kiedy Andrzej chciał już dobyć z olster pistolety. — Widzicie chłopcy, ten oto młody pan przybył mi z pomocą i wydobyl z pod konia, który został postrzelony przez tego przeklętego Silnickiego i padł podemną w lesie. Myślałem, że już mi przyjdzie wilkom służyć na strawę, ale on nad-

— i poratował, za co mu składam jeszcze raz dzięki — dodając czapkę. A teraz wybac waszmość, że ci się przedstawiłem, ale lepiej późno jak nigdy. Jedną z wódzów takiej właśnie gromady zuchów, jak się tam na stepach. Może jeszcze się w polu, bo ja uciekać nie lubię i po-

trafię dotrzymać czoła nawet wojsku regularnemu. A teraz do widzenia, mój młody panie i szczęśliwej podróży — nie pozalajesz tego, żeś Szulakowi dopomógł w nieszczęściu.

Po tym słowach, zanim Andrzej mógł wyjść ze zdziwienia, Szulak i jego szajka znikli w zaroślach, jak gdyby to byli nie ludzie a widma.

— Mieliliśmy też kogo ratować — ozwał się Semenکو. Ja mówiłem paniczowi, że ten las podejrzany — tu za każdym drzewem siedzi zbój. Naprawdę, teraz boję się mówić głośno bo mi się zdaje, że Szulak mię słucha.

— Ja już coś o tym Szulaku słyszałem od ojca — rzekł Andrzej. — Ma on być naprawdę bardzo odważny, szkoda w takim razie, że zamiast być zbojem nie został żołnierzem.

— Paniczu, a daleko jeszcze do tej karczmy? — rzekł Semenکو, oglądając się dokoła, bo mnie jakoś w tym lesie nie samowito.

— Przecież teraz chyba ludzi Szulakowych nie mamy się co obawiać — rzekł Andrzej.

— Kto tam wie, zresztą przez omyłkę mogą nas wziąć za kogo innego, a że noc teraz, więc i dojrzeć dobrze nie można

— Ty bo masz ciągle złe przecucia — odparł śmiejąc się Andrzej.

Tymczasem noc zupełnie zapadła w lesie, co było tem przykrejszem, że ciągle drogę przeżywały głębokie wąwozy i jary, kędy na dnie szumiały po kamieniach potoki. Okolica stawała się niezmiernie dziką i przerażała człowieka nieobytego z ponurą ciszą olbrzymich lasów i niedostępnością skał i przepaści swoich — bo było to niedaleko Dniestru i zaczynały się już owe straszne jary, biegnące ku niemu na kształt rozgałęzień i dające za czasów tureckiego panowania nad tym krajem przytułek rozmaitym, prowadzącym zbójceki żywot, łotrom, którzy i teraz, po ustąpieniu Turków bawili się nadal tem samem rzemiosłem, a nawet częstokroć porywali ludzi i sprzedawali ich w Chocimiu bisurmanom.



Pani jeziora.

— Paniczu — ozwał się nagle Semenکو — tam się coś świeci z poza drzew. Może to karczma!

W istocie, była to mała karczemka przydrożna, której drobne okienka migotały jak dwie gwiazdki w ciemności. Podróżni zatrzymali się przed drzwiami i Semen zapukał w nie mocno, ale nikt nie otwierał.

— Cóż to, czy w tej czartowskiej karczynie wszyscy wymarli — mruknał pacholek i począł walić z całej siły pięściami i nogami, krzycząc:

— Hej gospodarzu, gospodarzu otwieraj, jeśli nie chcesz, byśmy sobie sami otworzyli! Cóż u biesa, czyś ogłuchł.

W końcu, wewnątrz dały się słyszeć kroki, drzwi się otworzyły i w progu stanął Żyd z latarką w ręku.

— Ny, co tam za krzyki? — rzekł podnosząc latarkę w górę.

— Cóż to, Żydzie, trzymasz podróżnych w nocy przed drzwiami — ozwał się Andrzej.

Żyd ujrzawszy dwóch zbrojnych, spokorniał natychmiast i zaczął się tłumaczyć, że nie otwierał dlatego, iż bał się, czy to nie jakowi zbójcy.

— Sam psawiara na zboja wygląda — szepnął Semenku do pana.

W istocie Żyd wcale nie posiadał powierzchowności, budzącej zaufanie; rudy, o twarzy niemiłej, oczach, patrzących chytrze i ponuro, dziwnie nieprzyjemne czynił wrażenie. Wprowadził podróżnych do izby, gdzie oprócz stołu i ławek nie było nic więcej, a sam począł się krzątać około przyjęcia.

Semenku, a pamiętaj o koniach — rzekł Andrzej do pacholka.

— Proszę wielmożnego pana, już tam mój sługa Maksym ma, o nich staranie — odrzekł Żyd.

— No, już ja zawsze wolę sam do nich zajrzeć — odrzekł Semenku i wyszedł.

W stajni zastał owego Maksyma, niemłodego chłopca, bardzo biednie odzianego, który właśnie zarzucał koniom siano.

— Nie poilem ich jeszcze, bo zgrzane — rzekł do wchodzącego Semenka. — Ładne macie konie — ozwał się po chwili.

— Ładne — potwierdził Semen. — A wy już dawno u tego Żyda służycie?

— Będzie rok na Boże Narodzenie — odrzekł Maksym który zdawał się myśleć nad czemś. — No, no, jedz, nie oglądaj się — ozwał się do konia po chwili.

— A daleko jedziecie? — zapytał Semen.

— Ho, ho! jeszcze mamy mil dwadzieścia pewnie do Hordijowic.

— Jakto, do Hordijowic? — zapytał Maksym.

(d. c. n.)

PANI JEZIORA.

Do szeregu skał zwracających ogólną uwagę, o których mówiliśmy już nieraz w *Wieczorach*, dając ich odbicie, zali-

czyć można osobliwe zjawisko, wskazywane turystom, zwiedzającym piękne wybrzeża Lemanu.

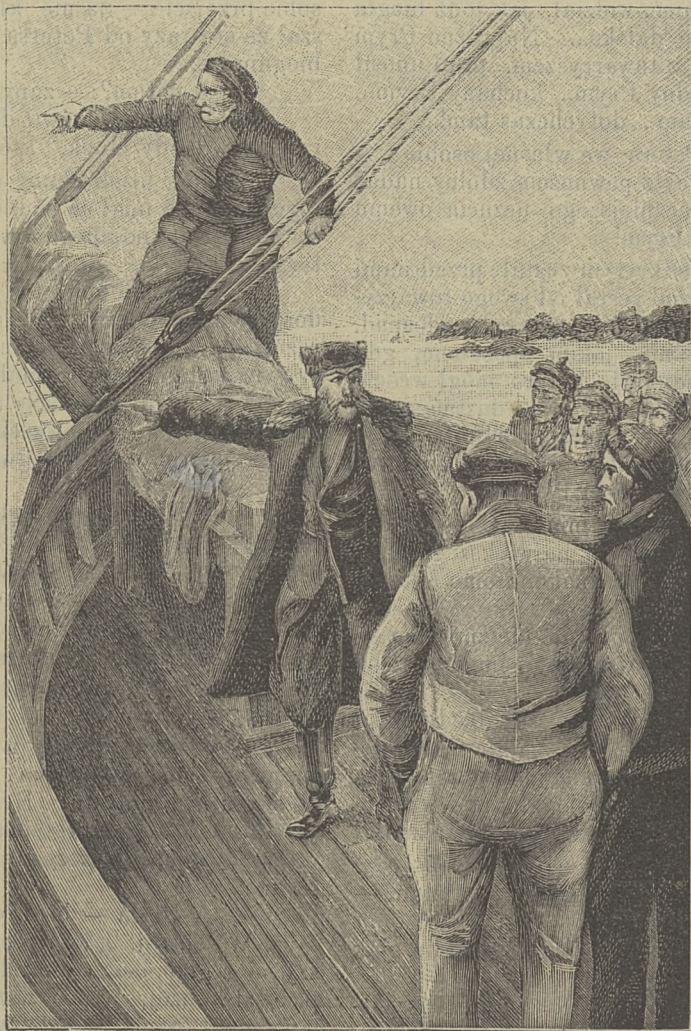
Jest to jakby olbrzymia do 300 m. wysoka sylwetka, u której najwyraźniej zarysowuje się profil postaci kobiecej, okrytej zasłoną.

Kolosalna ta, niby ręką olbrzyma utworzona postać, występująca na ciemnym tle pochyłości góry, królującej nad wioską Bouveret, znaną jest okolicznemu ludowi pod nazwą: „Pani jeziora”. U stóp jej rozpadlin, utworzonych przez spadające niegdyś z góry potoki, sączy się woda. Poetyczna o niej baśń ludowa, brzmi jak następuje: Piękna, młoda i bogata córka pana sąsiedniego zamku, pragnęła poświęcić się Bogu w klasztorze. Gdy ojciec na to zezwolić nie chciał,

wraz z wierną służebną uszła za góry i lasy. Goniący jednak za nimi ojciec, znalazł je u stóp stromej skały, a gdy córka zalewając się łzami, błagała go o litość, niewzruszony starzec odrzekł: „Nie prędzej zezwolę ci zostać mniszką, aż ta skała płakać pocznie!” I oto, ledwie wyrzekł te słowa, gdy z odłamów skalnych poczęły spadać rzęsiste krople łez, których źródło dotychczas nie wyszło. Tak mówi legenda, a z pewnością nie doznałby dobrego przyjęcia u wieśniaków miejscowych, zachwyconych jej treścią, ten, kto by ośmielił się im tłumaczyć, że skała nigdy nie płakała, lecz że wysiłekąjącej z głębi gruntów wilgoci, zawdzięcza całe swe istnienie.

Przedstawia ona, wspaniały okaz kamienia wapiennego, który jest wytworem powolnego działania źródeł, tak zwanych kamieniejących.

Całe też wieki, a może dziesiątki wieków upłynęło od początków tej formacji, aż do obecnych olbrzymich rozmiarów skały, mającej do 20 m. wysokości, której białawo-szara masa grupuje się dość niekształtnie, tworząc miejscami obszerne pieczary, o sklepieniach zdołbnych w wielkie cylindrowego kształtu stalaktyty.



... I wskazał ręką południe równocześnie z Petersem ...

SFINKS LODOWY,

przez

JULIUSZA YERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg)

— Czy to od niego masz te wiadomości o owej podróży?
— Od niego, poruczniku!

— Więc on powrócił sam, zostawiwszy tu Pryma?...

— Sam powrócił.

— Opowiedz-że raz wszystko co wiesz — zawołałem, nie mogąc dłużej opanować zniecierpliwienia. Bo oto ten Hunt znał osobiście Dick Petersa, i słyszał z ust jego wszelkie szczegóły wypadków, które sądziłem, iż na zawsze pozostaną dla nas tajemnicą.

Ulegając wpływowi mego rozkazu, Hunt począł opowiadać w zdaniach urywanych wprawdzie, lecz dość wyraźnych.

— Tak... była tam zasłona z mgły... mówił mi o tem często Peters... niech mię pan zrozumie... Obadwaj, Prym i on płynęli w łodzi, z wyspy Tsalal... Potem... potem, nadpłynął lodowiec, nastąpiło silne zetknięcie i Peters wpadł do morza. Zdołał jednak ucześcić się lodowca... następnie wdrapał się na niego i — chciej mię pan zrozumieć, widział, jak łódź biegła dalej z prądem daleko — bardzo daleko... Napróżno Prym usiłował nawrócić i złączyć się z towarzyszem, prąd unosił łódź z wielką siłą... I Prym, biedny Prym... kochany Prym... nie powrócił dotychczas! Jest tam.. dotychczas tam!...

Prawdziwie, gdyby Dick Peters we własnej osobie wypowiadał ostatnie słowa, nie byłby z pewnością zdolny nadać większej siły i głębszego, serdeczniejszego uczucia owemu wykrzyknikowi: biedny, kochany Prym!

Bądź co bądź jednak, oto odkrytym został przed nami fakt, iż Artur Prym rozdzielonym został od swego towarzysza, jeszcze przed zasłoną z mgły, którą tworzył wodospad. Odtąd pozostawało jeszcze pytanie, jakim sposobem, gdy prąd unosił Pryma dalej ku południowi, Peters mógł wrócić na północ, przebyć zaporę, koło biegunowe i dostać się do Ameryki. Aby rozjaśnić tę kwestyę badałem Hunta dalej, a on odpowiadał na wszystko zgodnie z tem, co, jak mówił, słyszał po wiele razy od swego przyjaciela Petersa.

A więc w chwili rozdziału, Peters miał właśnie w kieszeni pamiętniki Pryma, i strzegąc ich jak największego skarbu dowiózł do Ameryki, gdzie je oddał znakomitemu autorowi i wydawcy.

— Niech mię pan zrozumie, ja tu nic nie zmyślam — zapewniał Hunt — powtarzam tylko wszystko com słyszał od przyjaciela.

Gdy prąd unosił go na lodowcu, krzyczał biedny z siłą całych, ale Prym był już daleko, łódź jego malała w oddaleniu, aż wreszcie zniknęła całkiem; dostali się bowiem na dwa przeciwne sobie prądy. Po jakimś czasie głodny i wycieńczony, żywiąc się tylko surowem mięsem ryb, które zdołał pochwycić z lodowca, znalazł się znowu u wyspy Tsalal.

— Jakto, u Tsalal?... — zawołał zdziwiony kapitan. — A ile czasu upłynęło, gdy opuścił wyspę?

— Trzy tygodnie, tak jest, najwyżej trzy tygodnie, jak mię zapewniał Dick Peters.

— Więc musiał wtenczas odnaleźć już tam tych wszystkich z załogi Oriona, którzy swe życie uratowali, musiał widzieć brata mego Wiliama?...

— Nie — odpowiedział Hunt — Peters myślał zawsze, że oni wszyscy, wszyscy zginęli. Wyspa też była zupełnie pustą, nie było już na niej nikogo.

— Co mówisz, nikogo? — zapytałem zdziwiony.

— Nikogo, chciej mię pan zrozumieć.

— A ludność Tsalalska?...

— Nie było nikogo, mówię panu, ani jednego człowieka. Wyspa była pustą...

Twierdzenie to stało w widocznym przeciwieństwie z faktami, o których mieliśmy pewne przez Watersona wiadomości. Być może jednak, że gdy Dick Peters powrócił na Tsalal, miejscowa ludność, pod wpływem dziwnego jakiegoś strachu, przeniosła się już na sąsiednie wyspy, podczas gdy Wiliam Guy i jego towarzysze nie śmieli jeszcze wyjść ze swego ukrycia, wśród zwalisk steatydowych kamieni. Wszelako możliwość wypadku, że wyspa została tak szybko opuszczoną przez krajowców, tłumaczyła poniekąd, iż przez całe lat 11, kilku nieszczęsnych rozbitków Oriona zdołało na niej żyć spokojnie. A że Waterson zostawił ich jeszcze na miejscu przed siedmiu zaledwie miesiącami, przeto słuszny

jest wniosek, iż dopiero w tym ostatnim okresie czasu, trzęsienie ziemi zmusiło ich do szukania innego schronienia.

— A więc — zagadnął znowu Len Guy — Dick Peters po powrocie swoim, nie zastał ani jednego mieszkańca na Tsalal?

— Ani jednego, kapitanie! — odpowiedział Hunt głosem silnego przekonania.

— A co on sam uczynił potem? — badał kapitan.

— Chciej mię pan zrozumieć, on był głodnym, znalazł... łódź u brzegu, a w niej dużo suszonego mięsa i kilka baryłek wody... pożywił się tem; a potem, gdy wiatr południowy... tak jest, południowy... ale bardzo silny... przypędził znowu lodowiec do wyspy, on na nim popłynął — przez długie... długie tygodnie, w stronę zapory lodowej. Wreszcie lodowiec znalazł sobie przejście — ja nie kłamię, panie — ja mówię com słyszał ze sto razy od Petersa, który tak przepłynął nawet koło biegunowe.

— A potem? — zapytałem.

— Potem — mówił dalej Hunt — spotkał Peters okręt rybacki „Sandy Hook,” który go zawiózł do Ameryki...

Zatem, jeżeli damy wiarę opowiadaniu Hunta, a przeczytać temu nie miałem żadnej racyi, tak zakończył się ów straszny dramat podbiegunowy, odnośnie przynajmniej do Petersa.

Prawdopodobnie też publicysta amerykański, któremu dostały się pamiętniki Pryma, ubarwił, mianowicie ostatnie rozdziały, dodatkami wysnutemi ze swej fantazyi, co nadało opowiadaniu charakter mało zgodny z rzeczywistością. Ponieważ zaś nigdy osobiście nie znał Petersa, przeto wołał zasłonić się przed ciekawością ogółu, zmyślonem doniesieniem o jego śmierci, „śmierci gwałtownej i tragicznej,” jak się wyraził.

— Jeżeli jednak Artur Prym nigdy nie powrócił do Ameryki, jeżeliby nawet nie zginął wkrótce po rozłączeniu z Petersem, to czyż możliwą było rzeczą, aby żył gdzieś w tych stronach, aż do tego czasu? — rzekłem.

— Tak, tak, on żyje! — powtarzał Hunt, a powtarzał to z tak głębokiem przeświadczeniem, jak gdyby Dick Peters przelał mu własne uczucie przywiązania, do swego dawnego towarzysza niedoli.

Owo nienaturalne u Hunta przejęcie się losami nieznanego sobie człowieka, nasuwało znowu podejrzenie co do stanu jego umysłu. Byłem też pewny teraz, że głos, który mię parę tygodni temu niepokoił we śnie, nie był żadnem przywidzeniem, lecz że to był głos Hunta, powtarzający żalostnie:

— A Prym — biedny Prym?!...

W chwili, gdy skończył badanie, kapitan ocknąwszy się z głębokiego zamyślenia, zakomenderował załogę, by podeszła bliżej, a gdy wszyscy znowu otoczyli Hunta, Len Guy rzekł tonem rozkazującym.

— Słuchaj mię Huncie i pamiętaj, że pytania które ci zadam, są wielkiej wagi...

Hunt podniósł głowę i spokojnym wzrokiem powiódł dokoła stojących.

— Utrzymujesz — mówił dalej Len Guy — iż prawdą jest wszystko co zeznał o Arturze Prymie?...

— Tak kapitanie, ja nie kłamię.

— I ty sam znałeś Dick Petersa?

— Znałem go.

— Żyłeś z nim przez kilka lat w Illinois.

— Przez dziewięć lat, kapitanie.

— A on ci często opowiadał te rzeczy?

— Bardzo często.

— Więc powtórzyłeś tu dokładnie wszystko o czem on ci mówił? Nie kłamiesz teraz?

— Mówię prawdę, kapitanie.

— Powiedz mi jeszcze, czy Peters nie przypuszczał, że prócz niego i Pryma zdołali się jeszcze inni ocalić z załogi Oriona?

— On myślał, że wszyscy zginęli...

— A Artur Prym czy był tegoż zdania?

— Artur Prym był też pewien, że kapitan Wiliam Guy i cała jego załoga zginęła w tej dolinie pod wałcami się skałami.

— Gdzieś widział Petersa ostatni raz?

— W Wandalia.

— Dawno temu?

— Przeszło dwa lata.

— A z was dwóch, który opuścił pierwszy Wandalie?

Na twarzy Hunta widoczny był przez krótką chwilę niepokój i wahanie, odpowiedział jednak:

— Opuściliśmy Wandalie razem.

— Gdzie ty udałeś się wtenczas?

— Do Falklandów...

— A on?

— On — powtórzył Hunt i wzrok jego wylękniony spojrzał przez chwilę na Marcynie Holcie...

— Odpowiedz mi! Czy rozumiesz o co cię pytam?

— Rozumiem, kapitanie.

— Mów zatem! Gdy Dick Peters wyjechał z Illinois, czy opuścił Amerykę?

— Tak.

— I gdzie pojechał?

— Do Falklandów.

— A gdzie jest teraz?

— Przed tobą, kapitanie! Ja jestem Dick Petersem — rzekł Hunt cichszym nieco głosem.

Postanowienie.

Ogólne zdumienie po tym wyznaniu, było tak wielkie, iż przez dłuższą chwilę zapanowało na pokładzie zupełne milczenie.

— Jako, więc ten Hunt, ten dziwny, oryginalny Hunt, był Dick Petersem, a my nie domyślaliśmy się nawet, byśmy mieli pośród nas od tak dawna, tyle ważną dla naszej wyprawy osobistość!...

I jakimże sposobem stać się mogło, że ani kapitan, ani Jem West, ani ja wreszcie patrząc na niego codziennie, nie powzieliśmy żadnego podejrzenia, nie wpadliśmy na domysł, iż ten pochodzenia indyjskiego marynarz, przedstawia wiele podobieństwa z opisem, jaki nam podał w pamiętnikach Artur Prym o swym towarzyszu?

Wyznaje szczerze, iż czułem się wprost zawstydzony owym brakiem bystrości i domyślności, jakie nam słusznie zarzucić może czytelnik, dla którego zapewne już dawno fakt ten przestał być tajemnicą. Były wszakże warunki, które nas tłómaczą do pewnego stopnia. Bo jakkolwiek Hunt zdradzał zarówno mową swą jak wyglądem pochodzenie z indyjskiego plemienia, Upsarakos z Far-West, czyż miało to być uważanem za rzecz nadzwyczajną, skoro na Falklandach, skąd się on na statek nasz najął, spotyka się najróżnorodniejsze narodowości wśród marynarzy oczekujących tam pory łowów na wieloryby? A przez cały czas pobytu swego na Halbranie, trzymał się Hunt jak wiemy, zawsze tak zdaleka od wszystkich, że nikt z załogi nie znał dotąd nawet jego głosu.

Dziwaczność wszakże i odrębność jego zachowania zwróciła przecież moją uwagę i zaciekawienie, i doprawdy, sam zrozumieć nie mogę teraz, co zaciemniało mój umysł, gdy niejedną uprzytomnię sobie chwilę, gdy wspomnę, jak już na wyspie Bennet, a następnie na Tsalal, widocznem było, że ziemie te nie są mu zupełnie obce; z jakim nawet rozrzuśnięciem dotykał deski, która była szczątkiem żaglowca Oriona, i jak w czasie żeglugi nieustannie badał południowe strony morza.

Sam rysopis nawet Dick Petersa zostawiony nam przez Pryma, owa krępa, przysadzista postać nieproporcjonalnie rozwinięte kończyny, ogromna głowa z nadmiernem przecięciem ust lub wreszcie całkiem wyjątkowa siła, zgadzały się najzupełniej z naszym dawnym Huntem, tak iż nie mogło tu być mowy o powątpiewaniu co do prawdy otrzymanego zeznania. Tylko dziki, okrutny wyraz, jaki niegdyś szpecił tę twarz

i wykrzywił usta, które obok swej szerokości nie zakrywały nadmiernie długich zębów, wyraz ten, nadający jego fizynomii, wedle słów Pryma: „jakaś szatańską wesołość” — znikł bez śladu z twarzy dzisiejszego Petersa. Widocznie przeżyte lata w różnorodnych warunkach, wstrząśnienia moralne i cierpienia fizyczne, może wreszcie samo obcowanie z Prymem zmieniły i złagodziły dziką tę naturę, wpływając zarazem na wyraz twarzy.

Dlaczego jednak Dick Peters ukrywał się tak starannie ze swem właściwem nazwiskiem już na Falklandach, dlaczego nie wyjawiał go nawet kapitanowi, którego cel podróży nie był mu obcym? Dla czego? Oto bezwątpienia lękał się, by nazwisko to, nie ściągnęło mu wśród otoczenia uczucia wstrętu i pogardy, jako nazwisko człowieka, który brał udział w najdzikszych scenach, jakie miały miejsce na Grampiusie. Potrzeba też było tak ważnego powodu, jaki mu przedstawiała nadzieja odszukania Pryma, by zdecydował się wreszcie odkryć tajemnicę dawnego swego życia.

Bo nie w innym celu opuścił Dick Peters Illinois, i osiedlił się przed dwoma laty na Falklandach, tylko aby skorzystać z pierwszej zdarzającej się wyprawy w strony podbiegunowe. Najmując się też na Halbran, żywił nadzieję, że zdoła skłonić kapitana, gdy ten już odnajdzie swych ziomeków, do posunięcia się dalej jeszcze, tam — gdzie spodziewał się zastać przy życiu tego może jedynego człowieka, którego ukochał, a z którym go los fatalny rozłączył.

Czyż jednak możebnem było, aby Artur Prym, jeżeli nie zginął w krótkim czasie na swej łodzi, jeżeli go nie pochłonęła przepaść, jaką widział przez sobą, mógł żyć jeszcze w tych stronach?.. Bo jeśli istnienie Wiliama Guy i pięciu jego towarzyszy przez te 11 lat przedstawiało się prawdopodobnem, a nawet zostało poświadczonem przez notatki Watersona, to wyspa Tsalal, na której zostawali, dawała dzięki niedawnej jeszcze bujności roślinnej i dość bogatej fauny, możliwe warunki bytu. Gdy tymczasem Artur Prym...

A jednak umysł mój, przyjmujący do niedawna zimno i trzeźwo rzecz każdą pod rozważę, nie burzył się wcale w obec nadziei, jaką żywił Peters i gdy go skryzałem wołającego głosem silnego przekonania: „Prym nie umarł — Prym żyje — trzeba ratować biednego Pryma! — czułem się do głębi wzruszonym.

Ale bo też odkąd postanowiłem wziąć udział w tej wyprawie, zmieniłem się do niepoznania, i próżno szukałbym już w sobie owego człowieka, rządzącego się w każdej chwili praktycznym rozumem. Opuścić więc teraz Tsalal i skierować się w powrotnej drodze na Atlantyk, wydało mi się, jak już mówiłem, rzeczą całkiem niemożliwą, pozbawioną wszelkiego uczucia ludzkiego i przeczynałem, że Peters wołając: „nie opuścimy teraz biednego Pryma”, liczy na moje poparcie.

Jakże jednak proponować nawet kapitanowi, aby narażał Halbran na dalsze niebezpieczeństwa, gdy stanowcza odmowa, nawet z jego strony, była do przewidzenia?...

Korzystając wszakże z ogólnego milczenia, jakie zapanowało na pokładzie po wyznaniu Petersa, zabrałem głos.

— Przyjaciele — rzekłem — nim zapadnie ostateczna decyzja, należałoby może rozpatrzyć całe obecne położenie, abyśmy po niewczasie nie czynili sobie gorzkich, lecz próżnych już wyrzutów. Zastanów się więc, proszę, kapitanie i wy wszyscy towarzysze moi! Przed siedmiu zaledwie miesiącami Waterson zostawił jeszcze rodaków waszych na Tsalal, a jeśli zdołali oni wytrwać tu aż do tej pory, dzięki warunkom, jakie przedstawiała wyspa, mianowicie po opuszczeniu jej przez krajowców, to czyż nie jasnem jest, że niedawne dopiero trzęsieniu ziemi kazało im szukać innego schronienia? W takim zaś razie mając w ręku tylko łodzie krajowców do rozporządzenia, gdzieżby się mogli udać, jeśli nie na jedną z pobliskich ziem, bądź wyspy, bądź jakiegoś lądu stałego? Ze jedynie tak być musiało, o tem mam głębokie przekonanie, lecz równocześnie przekonanie to mówi mi, iż wszystko, cośmy dotąd zrobili dla ich ratowania przepadnie marnie — czyli, że nie zrobiliśmy dla nich nic zgoła, jeżeli teraz mianowicie ich opuścimy.

Powidłem wzrokiem po otaczających; wyraz ich twarzy nie dawał żadnej odpowiedzi; Len Guy tylko z głową schyloną, stał widocznie wzruszony uznając prawdopodobnie słuszność mego zdania,

— I o cóż teraz właściwie idzie? Oto aby przebyć jeszcze kilka stopni szerokości, korzystając z przyjaznych warunków żeglugi, a dwa miesiące pory letniej, jakie jeszcze mamy przed sobą, zanim nadejdzie sroga zima, wystarczy nam chyba do odwrotu. I my namyślały się jeszcze, mimo że Halbran bogato jest zaopatrzony w żywność i załoga cieszy się najlepszym zdrowiem? Czyż mielibyśmy się lękać jakichś wymarzonych niebezpieczeństw, nie mielibyśmy dość odwagi iść jeszcze tam — tam dalej!

Wskazałem ręką południe, gdy równocześnie Peters w tę samą stronę wyciągnął swe ramię.

Oczy wszystkich obecnych zwrócone były na nas, nikt wszakże nie zdobył się na odpowiedź.

— Bez wątpienia — dodałem po krótkiej chwili — jeżeli Bellingshauzen, Biscoë, Kendal i Weddell, nie posunęli się nawet do tego punktu, to dlatego jedynie, że nie sprzyjały im tak wyjątkowe warunki, w jakich zostaje Halbran i w jakich jeszcze zostać może dłużej.

Znowu głębokie milczenie było mi jedyną odpowiedzią, a jednak dotychczas nie wymówiłem nawet nazwiska Dick Petersa ani Pryma, wiedząc, że wzmianka o nich wywołałaby pogardliwe wstrząśnienie ramion, lub może nawet groźby przeciw mej osobie. Miałem więc już zamiar usunięcia się, dając wszystkiemu za wygraną, gdy Len Guy głos zabrał.

— Mówisz zatem Petersie, że jadąc z Prymem w łodzi krajowców widzieliście niedalekie wyspy w kierunku południowo wschodnim?

— Tak kapitanie — wyspy albo ląd stały — niech mię pan zrozumie, zdaje mi się, że to tam!... I Prym, biedny Prym czeka, aby ktoś przybył mu z pomocą!...

(d. c. n.)

Z DALSZEGO ŚWIATA.

Depesza Andréé'go. — Pochód historyi światła.

Zawinął obecnie do Hamerfestu okręt, który przywiózł depeszę Andréé'go, znalezionej u gołębia postrzelonego przez jego kapitana; brzmi ona jak następuje: „13 lipca, o godz. 12 min 30 po południu, 82.2 st. szer. półn., 15 5 st. dł. wsch. Podróż pomyślna ku wschodowi, 10 st. pół.; na pokładzie wszyscy zdrowi. Jest to trzecia wysyłka gołębia. *Andrée*.” Dwa pierwsze gołębie zatem, wypuszczone przez Andréé'go przed 13 lipca, zginęły. Powyższa depesza, wysłana w 24 godziny po wlocie balonu, nie uspokaja bynajmniej co do dalszych losów wyprawy.

Na obecnej wystawie w Bruxelli, dano zgromadzonym gościom wielkie widowisko uliczne pod tytułem: „Po-

chód historyi światła.” Pochód ten obchodził przez kilka godzin ulice ogrodów wystawy w zupełnej ciemności przed tłumami ludu. Przypominał on główne przemiany zaszłe w oświetleniu od czasów starożytnych do dzisiejszych. Ogniki i gnomy otaczały najpierw ludzi przedhistorycznych, z gałęzmi smolnemi zapalonemi w rękach. Dalej Indyanie, ubóstwiający ogień, otaczali pałacę się stos. Egipcyanie nieśli na swych barkach lektykę, na której spoczywała ich królowa. Arcykapłan izraelski w towarzystwie kapłanów z pochodniami w rękach poprzedzał grupę, złożoną z kilku lewitów, niosących lichtarz o siedmiu gałęziach. Dalej grupa dzieci greckich, trzymających w ręku kwiaty, poprzedzała sześć we stalek, których lampy i kagańce oświetlały cztery inne Westy, z ołtarzem świętym na barkach. Nareszcie Diogenes ze swoją legendową lampką, był ostatnią postacią tej grupy.

Szli najpierwej czterej Rzymianie, a za nimi niewolnicy z ognistemi lampami. Za wielkim kandelabrem etruskim leżał niesiony na wspaniałem łożu cesarz rzymski. Dalej znów barbarzyńcy: Gallowie, Hunnowie, Gotowie i Wizygoci. W otoczeniu niewolników z pochodniami szli klerycy i zakonnicy ze świecami w rękach. Tak zwane czasy odrodzenia przedstawione były w osobie Franciszka I-go, króla francuskiego powracającego z polowania z liczną drużyną, z trębaczami, ze służbą niosącą latarnie, z włoscianami otaczającymi swego pana na koniu i panią zamku, wygodnie spoczywającą w lektyce. Ośmiu paziów z kagańcami zamykało tę pierwszą część pochodu.

Drugą część rozpoczynali muzykanci, za którymi dzieci i kobiety w bieli uosabiały świece. Kandelabry otaczały „wóz pochodni” biało srebrny, za którym liczne grupy mężczyzn i kobiet niosły świece. Dalej szły wachlarze chińskie i japońskie, balony i transparenty bambusowe z girlandami z ognia bengalskich. Dzieci, ubrane biało, poprzedzały lektykę, niosącą boginię Piękną.

Potem olejna lampa — dr. Faust w swojej pracowni — za nią lampa petrolowa z wielkim abażurem z jedwabiu i złota. Lampa nocna wschodnia i nowożytna: dziecko leżące w kolebce, słabo oświetlonej tą lampką, a przy niem matka czuwała. Nareszcie ukazał się gaz i wszystkie jego zastosowania, poprzedzający grupę Nocy, upostaciowanej w kobiecie w towarzystwie sowy.

Ostatnia część była poświęcona elektryczności: trzech elektrotechników, uzbrojonych w błyskawice, poprzedzało wóz, ozdobiony olbrzymią lampą elektryczną. Młoda kobieta przedstawiała elektryczność; ośmiu trębaczów ogłaszało przybycie ostatniego rydwanu. Uzbrojone kobiety niosły palmy elektryczne. Na lśniącym wozie dwie postacie Sławy, wśród wodospadów ze światła elektrycznych, rzuciły w oko miliony różnobarwnych promieni.

Z tego pobieżnego opisu możecie mieć tylko słabe wyobrażenie o tym malowniczym pochodzie, którego oryginalne obrazy fantastycznie się odbijały na tle ciemnej nocy. Był to jeden z najpiękniejszych widoków, jaki sobie wystawić można.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Kornel Ujejski (z portretem). — Życie w oceanie przez Dr. M. Stefanowską (z ryc.) — W wiejskiej zagrodzie przez Maryę Łopuszańską. — Pani jeziora (z ryc.) — Sfinks lodowy, Juliusza Verne'a, przekład M. D. (z ryc.) — Z dalszego świata — Dodatek: Zasłużona przyjaźń, wiersz (z ryc.) — Przebiegła wydra przez Maryę Weryho. — U cioci Polci. — Jagienka przez Z. R. — Łami-główki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Poza gniazdem przez Teresę Jadwigę.

WIECZORY RODZINNE



ZASŁUŻONA PRZYJAŹŃ.

Gdy na dziedzińcu bawią się dzieci,
Wnet Sultan w gronie ich się znajduje:
Dzieci wesole, a słońko świeci,
Więc się nasz stary piesek raduje.
Przed domem pana czuwał noc całą,
Jego dobytku strzegł jak swojego,
Toż nie napróżno jest jego chwała,
Nie próżno nosi miano „czujnego.”

Dzieci go pieszczą, karmią i poją,
On im swą przyjaźń bezwzględnie daje
Nawet najmniejsze się go nie boją,
Liże po rączkach, łapę podaje —
Dla czego jednak nie wszędzie w świecie
Dobre, łagodne pieski bywają ..
Pytacie jeszcze, alboż nie wiecie:
„Co drugim czynisz, to ci oddają!”

PRZEBIEGŁA WYDRA.

Nad brzegiem dużego jeziora zamieszkała wydra.
Wykopała sobie głęboką norę, wyłożyła ją mchem i na-
wet małe okienko zrobiła.

Wydra sni prawie cały dzień, a dopiero wieczorem

wychodzi na polowanie, taki już ma zwyczaj. Gdy wyjdzie z nory idzie najpierw do jeziora i mocno uderza ogonem po powierzchni wody. Drzemiące ryby przestraszone loskotem zaczynają uciekać, wtedy wydra daje nurka

i wyciąga jedną rybkę po drugiej, zagryza i wyrzuca na brzeg. Wyłowiwszy sporą ilość zasiada do wieczery.

Razu jednego przechodził tamtędy rybak. Zobaczywszy szczątki niedojedzonych ryb, schwycił się za głowę ze zmartwienia.

— Ach te wydry, te szkodniki, co ja przez nie mam strat; jak tak dalej pójdzie, nie będę miał poco sieci zarzucać.

Zawziął się rybak; z wielką trudnością wyszukał norę wydry i postanowił ją dopilnować.

Ale nic z tego, wydra nie zjawiała się więcej. Skoro bowiem poznała obecność człowieka, przeprowadziła się do drugiej nory, bo dla bezpieczeństwa miała kilka mieszkań.

Posłyszał także o wydrze pewien myśliwy. Ma on ogromną chętkę na jej futerko. Co prawda, sama wydra nie większa od kota, ale na kołnierz zimowy wystarczy. Zabiera psa i wyrusza na polowanie.

Pies węch ma dobry, prędko odnalazł miejsce zamieszkania wydry, ale jak tu się dostać: nigdzie niema wejścia.

Rozgrzebuje więc i kopie ziemię łapami, już jest przy norze.

Tymczasem wydra dawno pływa po jeziorze, gdyż wejście do nory miała ukryte pod wodą.

Posłyszawszy nieprzyjaciela natychmiast uciekła i zanurzyła się w jeziorze.

Pies parska ze złości, iż pustą norę odgrzebał — i myśliwemu nie wesoło wracać do domu. Wydra spokojna, znowu jak dawniej poluje na rybki.

Marya Weryho.

U Cioci Polci.

Było ich czworo, dwóch chłopców i dwie dziewczynki, liczba, mogąca właśnie tworzyć szczęśliwą rodzinę; przyznać też należy, że byli bardzo szczęśliwi. Wprawdzie, gdy czasem Kazio jako najstarszy chciał nad rodzeństwem przewodzić, Zosię napadła chętką sprzeciwiania się braciom i siostrzyczce, albo gdy Henryś zapomniał, że mu nie wolno być zbyt dziecinny, bo na to za duży, najmłodsza zaś siostrzyczka udawała starszą panienkę, wówczas naruszała się zgoda panująca zwykle między dziećmi; trwało to jednak zwykle bardzo krótko i po każdym takim przejściu, godzono się szybko. Nadszedł jednak dzień, w którym wielkie zmartwienie spadło na naszą dziatwę, pomimo, że zgoda nie została naruszona, co jak wyżej już powiedzieliśmy, zwykle bywało przyczyną smutku. Dnia tego dzieci czuły się bardzo nieszczęśliwe, pomimo, że był to czas wakacyi, i że jechały na wieś.

Pocziwa bona towarzysząca im, starała się rozerwać je opowiadaniem różnych wesołych powiastek, jakiś zaś staruszek siedzący w tym samym co i one wagonie, wzruszony smutnym wyglądem młodzieńskich towarzyszy podróży, poczęstował ich doskonałymi pastylkami czekoladowymi, wszystko to jednak nie przydało się na nic. Zro-

zumiemy, że nic nie mogło zająć biednej dziatwy zawywszy, że każde obrócenie kół, które dysząca parą lokomotywa w ruch szalony wprawiała, oddalała je co chwila więcej od ukochanego ojca i drogiej mateczki. Tak jest! smutek tych tak wesołych zwykle dzieci, pochodził z przyczyny, że wakacje które z rodzicami miały spędzić nad Bałtyckim morzem, na co cieszyły się oddawna, teraz z powodu słabości matki, której doktor bezwarunkowo zalecił spokój, ułożyły się inaczej. Rodzice udali się oboje tam, gdzie lekarz zalecił, zdecydowano zaś, że dzieci wakacje spędzą u cioci Polci.

— Cóż my bez rodziców poczniemy? — rzekł Kazio.

— Nie pozostaje nic innego nad to, że Kazio musi przez czas ich nieobecności zastąpić ojca, a Zosia mamę — odparła bona, która postanowiła wszystko przedstawiać wesoło.

— Co też ty mówisz, nianiu? wiesz przecie, że ciocia Polcia ma nam teraz rodziców zastąpić — wtrąciła Zosia z powątpiewaniem.

— Ja nie chcę znać żadnej cioci Polci — dorzuciła mała Irenka.

— Cóż my możemy postanowić, kiedy nie znamy wcale cioci Polci — dodał Kazio, i nie wiemy czy jest zła czy dobra?

— Może właśnie jest bardzo miłutka — zauważyła Zosia.

— Doprawdy, ciocia Polcia miłutka — powtórzył za siostrą Henryś — jakże się zabawnie wyrażasz siostrzyczko.

Dzieci uśmiechnęły się na słowa Henrysia, pierwszy to uśmiech od chwili, jak ze smutkiem żegnały rodziców. Uśmiech ten jednak znikł zaraz gdy mała siostrzyczka bardzo stanowczo rozpoczęła:

— Ja chcę żeby mama...

— Wyzdrowiała jak najprędzej — dopowiedziała bona nie pozwalając jej skończyć zdania — bo niepraważ że to chciałaś powiedzieć?

— Naturalnie, że wszyscy gorąco tego pragniemy — odpowiedziała za siostrzyczkę Zosia.

— W takim razie, starajcie się być dobrej myśli drogie dzieci — rzekła bona. — Kto wie czy u cioci Polci czas wam nie zejdzie przyjemnie i wesoło. Pamiętajcie zawsze o mojem ulubionem przysłowiu: „Za najciemniejszą nawet chmurą złote słońko świeci.”

— Ale, kiedy bo chmura, która nad nami zawisła, jest bardzo ciemna — odezwała się Zosia.

— Kto wie jednak, czy właśnie ciocia Polcia nie będzie dla nas złotem słońkiem, o którym bońcia wspomniała — zauważył Henryś.

Tą razą dzieci wybuchnęły szczerym śmiechem.

— Ciekawa też jestem, jak ciocia Polcia wygląda — rozpoczęła Zosia — raz jeden i to dość już dawno temu widziałam ją wprawdzie, lecz nie pamiętam dosyć dobrze. Wiem tylko, że była dorosłą panną wówczas, dziś zatem musi być zupełnie starą.

— Wyobrażam sobie, że musi nosić okulary i duży czepiec — dorzucił Kazio.

— Ja zaś myślę, że nie będzie zbyt srogą dla nas — zauważył Henryś.

JAGIENKA

PRZEZ Z. R.

(Ciąg dalszy).

— No, ale to możesz powiedzieć, czy w Częstochowie Szwedy nas nie zabiją?

— Nie, nie zabiją — uspokajała go, a cała jej uwaga zwrócona była na coś szarzejącego przed niemi w oddali, niby jakieś budynki. Tam dojść trzeba, tam może znajdą nocleg!

Czas już było na to, gdyż ściemniało się szybko, jak zwykle w jesieni. Budynki owe stały wśród pola, w bok od drogi, którą szły dzieci. Zeszły więc z gościńca i Jagienka prowadząc Jurasia za rękę, zbliżała się do owych budynków zdziwiona, że nie widzi żadnego światła. Gdy przystąpiła jeszcze bliżej, poznała, że to co brała za budynki, były to sterty siana! Zawód to był wielki dla dzieci... Zdawało się im, po kilku nocach spędzonych pod dachem, w ciepłej izbie, wśród ludzi, że w tej swojej smutnej podróży, innych już przecież noclegów nie znają, a teraz znowu znalazły się, ciemną nocą na polu, same — samiuteńkie. O jakże to przykro, jak smutno, ach, jak straszno...

Usiadły pod stertą, Juraś płakał, Jagienka w cichoci sły gorzkie połykała, by go więcej nie rozrzewniać.

— Jagienko — pierwszy odezwał się chłopczyk — zasunij się tak w siano jak ja, będzie ci ciepło! taką mam głęboką jamkę, że nie widzę nawet tej strasznej nocy.

Pierwsza to była dobra rada jej towarzysza, zasunęła się w siano, oparła głowę i poczęły jej się snuć rozmaite a nie wesołe myśli... jedna głównie prześladowała ją: Czy zajdzie do Częstochowy? Czy zobaczy jeszcze matkę? Czy jest ona tam? Może poszła gdzieś w świat, szukać swego dziecka... Będą się tak szukały, szukały, aż je gdzieś Szwedzi pozabijają! Nie mogła stracić z oczu i pamięci tego Szweda, co do nich mierzył z muszkietu.

— Jagienko, zamknij oczy, to nie tak straszno, senem już głosem zawołał chłopczyk.

I tej rady posłuchała, przeżegnała się, przymknęła oczy i z pacierzem na ustach, usnęła.

Gdy zbudzili się rano, świat cały mgły przykryły. Wyszędłszy ze swoich kryjówek, nie wiedzieli w którą stronę kierować się, drogi nie było widać.

— Otóż to, — zawołał Juraś — teraz już i droga gdzieś się podziiała!

— Poczekaj, znajdziemy ją, zmówmy pacierz, zjedzmy po kawałku chleba, a mgły tymczasem może się rozsuną, gdyż to one zasłoniły nam drogę.

Otrzeprawszy się z siana, które żdźbłami poprzylegało do ich sukienek i włosów, dzieci postępowaly powoli w kierunku, skąd wczoraj nadeszły.

— Jest, jest już droga — zawołał Juraś, i biegi pędem przez pole, Jagienka podążyła za nim, i wkrótce stanęli w istocie na drodze. Uszli zaledwie kilkanaście kroków, gdy zobaczyli kilka wozów podjeżdżających pod sterty, które im nocleg dały. Widzieli wyraźnie, jak ludzie jacyś, brali siano na widły i narzucali na wozy.

Dzieci struchlały. Ghyby były zaspaly, coby się z niemi stało? może, nie widząc ich, przebiliby ich ci ludzie, lub przynajmniej pokaleczyli widłami... a może wzięliby ich za jakichś rabusiów, włóczęgów, jak ów czarny człowiek pod lasem, przyspieszyli kroku, by oddalić się jak najprędzej.

Szli do południa bez przerwy, nie spotkawszy nikogo i byli bardzo zmęczeni, Juraś skarżył się na nóżki, bolały go bardzo. Jagienka traciła siły i odwagę. Zdawało się jej, że dziesiątki mil uszli od ostatniej wioski, w której im koni odmówiono, a nie wiedziała, że swemi małemi nożętami, zaledwie na milę oddalili się od niej. Usiedli wreszcie oboje na kamieniu przy drodze, smutni bardzo. Już nawet Juraś nie zadawał żadnych pytań. Jagienka milczała także. Słońce wzbilo się z za mgły, świeciło teraz jasno, a nawet ogrzewało łagodnie, dobiegało południa, a dzieci nie miały dość woli, by powstać i iść dalej. W końcu Jagienka wzięła Jurasia za rękę i rzekła: Chodź!

— Ach, Jagienko, Jagienko... — zawołał rozżalony.

— Chodź, tu mogą przyjsz Szwedy i zastrzelą nas.

Zerwał się chłopczyzna, ale nim jeszcze ruszyli się z miejsca, usłyszeli turkot, a zarazem zobaczyli zbliżający się wóz, zaprzężony we dwa dobre konie — chłopak powoził. Dzieci zadrżały, nie wiedziały, wróg to, czy przyjaciel? Wóz zrównał się z niemi, siedzieli już znowu na kamieniu, bo nogi tak im się trzęsły i uginały w kolanach, że stać nie mogli. Powożący chłopak zatrzymał konie, popatrzył na dzieci, i zapytał, dokąd tak idą.

— Do Częstochowy — odpowiedziała ledwo dosłyszczanym głosem Jagienka

— Oto mi para pielgrzymów! — zaśmiał się.

— A daleko to jeszcze? — ośmieliła się zapytać.

— O, o, jak na wasze nogi, to daleko, ale na moje konie, to już nie tak daleko! Za dwie, półtrzeciej godziny, można stanąć na miejscu.

— Ach! żebyście nas podwieźli, Pan Bóg by wam wynagrodził — zawołała, składając ręce jak do modlitwy.

— To i podwiezę, siadajcie. Do samego klasztoru nie mogę, jadę w inną stronę, i pilno mi, ale tam, gdzie będziecie musieli wysiąść, już klasztor na Jasnej Górze widać.

Przechylił się przez drabiny wozu, wziął Jurasia pod pachy i posadził przy sobie, potem wyciągnął ręce po Jagienkę, ją także jak piórko unióś w górę i siedzieli już na wozie.

„Klasztor na Jasnej Górze będzie już widać”!... nie mogło się to pomieścić w główce Jagienki. Jaktó? dziś, dziś już zobaczy klasztor, w którym pewnie jest jej mama, dziś ją zobaczy — dziś jeszcze...

Nie mogła się uspokoić. A ona, dziś właśnie, przed chwilą, traciła nadzieję i ufność... O Boże! daruj mi ten grzech, przebac! — błagała w pokorze, modląc się gorąco, żeby w samej rzeczy matkę odnalazła na Jasnej Górze!

Juraś tymczasem tak był zajęty końmi, batogiem, lejcami, że o wszystkim innym zapomniał, póty prosił, aż wieśniak dał mu batog.

(d. c. n.)

S Z A R A D A.

Pierwsze z drugim wśród roślin nie znaczące wiele,
Jest w kuchennem użyciu dobrze znane ziele.
Pierwsze z trzecim to zwierzę, które tem się chlubi,
Że je dla słusznych przyczyn człek strzeże i lubi.
A choć z drzewa, lub z kości, jeszcze bywa w cenie,
Kiedy się na dwubarwej ukaże arenie.
Któżby jednak pomyślał, że szaradę całą,
Złożywszy, znajdzie męża okrytego chwałą.
Który w stanie kapłańskim ciche pędząc lata,
Wywalczył drogę prawdy dla całego świata.

ZADANIE KONIKOWE.

Ułożyła Srocza szulacka.

Gdy	ko	wschód	gły	i	ru	i
swe	le	nie	o	na	i	kra
zgi	wo	char	nie	tam	cisz	po
roz	ko	to	*	to	u	o
łyń	nie	tam	ty	ko	o	rzu
nie	step	gra	ła	cisz	twar	cznej
w bez	skie	zwró	ty.	ni	ny	bez

LOGOGRYF GEOGRAFICZNY.

przez Szarego Wilczka.

Z następujących sylab: Kra—fry—ry—po—a—ta—
var—ków—a—ga—znań—ra—mi—mouth—ka—bia—za
ułożyć wyrazy, których początkowe litery, utworzyć mają
nazwę pasma gór między krajem Sarmackim a Węgier-
skim. 1) Miasto nad Wisłą. 2) Część świata. 3) Miasto nad
Dźwiną. 4) Miasto nad Wartą. 5) Kraj w Azji. 6) Rzeka
w Anglii. 7) Miasto w Anglii.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 39-go.

Szarady: O — sa — ka.

Łamigłówki w trójkącie:

D z i a d y
Z g o d a
I k a r
A b o
D o
Y

Zadania konikowego:

Na świętego Grzegorza
Idzie woda do morza.

Skrzynka do listów.

P. *Filomenie Łos...* w Łukaszówce. Będziemy się starać uczynić za dość życzeniu Sz. pani, nie ręcząc wszakże za pomyślny skutek dobrych chęci i jeżeli uda nam się znaleźć kogoś odpowiedniego, pospieszymy z wiadomością, chociaż powtarzamy, rzecz to niełatwa. Szkołę muzyczną, poleconą przez osoby kompetentne wysłamy.

P. *Michalinie Mal.* w Rewlu. Postaramy się o żądane wiadomości, ale potrzeba na to trochę więcej czasu.

P. *Fry...* w Boguszycach. Skompletowane, o ile możliwe było, dalsze ciągi powieści wysłaliśmy, inne zbyt wcześniej już się rozpoczęły.

Jakże to dobrze, że *Wajdelotka* z nad Kaniny odezwała się wreszcie do nas, spodziewamy się też, iż odtąd stała między nami zawiąże się korespondencya. Ze słów *Wajdelotki* z przyjemnością widzimy, że jak umie korzystać z chwil przeznaczonych na odpoczynek i zabawę, tak też nie obcym jest jej obowiązek i nauka. Ułance miłe przesyłamy pozdrowienia.

Jakkolwiek sukienka *Laszki* stała się rzeczywiście nazbyt strojną dla biednych mianowicie dzieci, wszakże podana przyczyna usprawiedliwia to w zupełności, a dobre chęci dla pięknego celu zawsze ocenić umiemy, chociaż staranna praca *Laszki* sama za siebie przemawia.

Fartuszek z koronką jako własnoręczne robótki *Strzałki* odebraliśmy, ciesząc się zarazem pamięcią jej o biednych dzieciach, czego dowodem są oprócz tego zakupione jeszcze dla nich pończoszki.

Przykro nam, że miła *Kwiciorka* tak opóźniła się z listem do Redakcyi i to jedynie dla jakiejś niesłusznej obawy, liczymy że napewno, że odtąd szczerą przyjaźń nasza zyska zupełne jej zaufanie. Robótkę odebraliśmy, jaki o niej sąd wypadnie, niedługo się okaże.

Edwardowi S. Jakkolwiek przysłana powiastka wzięta jest wiernie z życia dziecięcego, mając nadto za temat piękny typ charakteru, jednakże z powodu usterek w języku i stylu nie nadaje się do druku.

Chociaż *Jaskółka* powróciwszy już do Warszawy, ma zamiar na nowo zawiązać przyjazną wymianę myśli ze swymi korespondentami, tym razem jeszcze musimy ją zastąpić w odpowiedzi na przysłane pod jej adresem listy.

Donosimy więc *Konwalijce* z nad Bachorzy, że uszyte przez nią i jej siostrzyczkę ubranka dla dzieci odebraliśmy i cieszy nas, że *Konwalijka* sama je skrajała. Co się tyczy wypracowań, o które badzo często dopytują się czytelnicy nasi, zapewnić tylko możemy, iż Redakcyja czyni wszelkie starania, aby w tym względzie zadowolnić młodych swych przyjaciół. Dowcipna zagadka ubawił również nas jak *Jaskółkę*.

Dawniejszego listu, o którym *Słowianin* wspomina nie odebraliśmy, musiał więc prawdopodobnie zaginąć na poczcie. W przysłanych obecnie próbach poezyi widzimy postęp, to też nie zniechęcając bynajmniej do dalszej wprawy, zalecamy tem usilniej pracę w naukach, obok gruntownego zapoznania się z językiem i literaturą naszą.

Niech się *Muszka* o zbyt ostry sąd nad uszytą przez nią sukienką, nie lęka, my nie wymagamy jeszcze doskonałości w robocie, lecz zachęcamy do wprawy przy staranności w wykończeniu. To samo też możemy powiedzieć o piśmie *Muszki*, które jeszcze nie jest tak złe, a nawet obecnie czyste i czytelne, stanie się kiedyś przyjemnem dla oka. Niechże więc *Muszka*, o ile zdrowie na to pozwoli częste do nas wysyła liściki.

